

“Walecznicy”

Siódemka waleczników w liliowych pelerynkach na ramionach, czekała wraz ze swoimi wierzchowcami, na placu przy głównej bramie Akademii w Keychester. Wśród nich byłam też ja. Musiałam sama przed sobą to przyznać, chociaż minęło już dziesięć lat od czasu, gdy zginęli moi rodzice, a ja jako siedmioletnia dziewczynka, przytłoczona bolesną stratą, trafiłam pod opiekę mojej ciotki, Margot. Nie mogła lub tylko twierdziła, że nie mogła stracić pracy w Akademii, dlatego przydzielono mnie na jedyny wydział, na którym pozostały jeszcze wolne miejsca. Koncepcja waleczników była wtedy zupełnie nowym wymysłem władcy, dlatego zamożniejsi rodzice mniej chętnie zapisywali tam swe dzieci, będąc niepewni co do pewności ich bytu.

Zostałam walecznicą, nie z mojego wyboru, ale jestem. Żaden siedmio- lub ośmiolatek nie wybierał. Wybierali opiekunowie prawni. Staliśmy się tym, kim mieliśmy zostać.

Musiałam wreszcie w pełni to zaakceptować, by móc się zaangażować w igrzyskach, ogłoszonych przez króla, o których dowiedziałam się dzisiaj rano. Niedługo później musiałam spakować wszystkie moje rzeczy do kilku sakiewek oraz toreb, które miałam założyć na siebie lub powiesić na siodło.

- Zgubiłaś spinkę – skinął na mnie Wilfred, chłopak o złotych włosach i piwnych oczach. Jak my wszyscy ubrany był w strój jeździecki, na który składały się czarne, sznurowane oficerki, brązowe bryczesy oraz lniana koszula. Liliowa pelerynka zwisająca na jego ramionach miała wyhaftowany herb naszej drużyny waleczniczej.

Powiodłam wzrokiem po moim pospiesznie zrobionym warkoczu, z którego wystawała cała masa rudobrązowych kosmyków. Faktycznie nie było w nim już spinki, którą niedbale go upięłam. Nie mogło mnie to jednak bardziej nie obchodzić w tamtym momencie. Podejrzewałam, że prawdopodobnie pożałuję tego dopiero, gdy moje długie włosy będą mi wpadać do oczu podczas jazdy, dlatego rozejrzałam się po okolicy. Objęłam wzrokiem ścieżkę, którą tu nadeszłam oraz pobliskie krzewy. Nieopodal znajdowała się zbudowana z czerwonej cegły największa stajnia na terenie Keychester Academy.

- Musiała zostać w stajni – oceniłam, wzruszając ramionami z wymuszonym uśmiechem, w głębi wciąż odczuwałam złość, bynajmniej nie z tego powodu – Ale jest szansa, że nie zdążę tam wrócić i poszukać jej przed wyjazdem – kontynuowałam szukając drugiej sztuki w torbie podpiętej do siodła.

Naszą uwagę przykuły śmiechy. Szatyn o ciemnych, sięgających ramion włosach, związanych w kitkę, zaśmiał się donośnie. Rozbawił go zapewne jeden z mniej lub bardziej niewybrednych kawałów Eliasa. Zdawało mi się, że tym razem opowiadał je nie tylko dla własnej satysfakcji, ale też dla rozluźnienia atmosfery, odreagowywał emocje związane z nieoczekiwaną wyprawą.

- Przestańcie się już chichrać, stresujecie mi konia – przerwał brunet o szlachetnych rysach twarzy, który jako jedyny z nas miał retoński akcent, powstrzymywał parsknięcie, wywracając czarnymi oczami. Zaraz potem dosiadł swojej siwo-jabłkowitej klaczy.

- Woźny zakazał wsiadania na konie – mruknęła z uśmiechem Rebecca, której od zawsze, w głębi, zazdrościłam jej niemalże kruczoczarnych włosów oraz dołeczków, które wstępowały na jej rumiane policzki.

- To ją uspokoi – kontynuował zupełnie nieprzejęty tym brunet – Poza tym, jakbyś nie zauważyła, wcale nie imponuje mi autorytet woźnego. Może sobie podskakiwać.

Mogłabym dyskutować, nawet mimo tego, że jeden z woźnych był naprawdę wrednym człowiekiem, aczkolwiek zaciśnęłam usta. Była to prawda. Ojciec Oscara obejmował ważne stanowisko przedstawiciela interesów kolonisty Sollonii, jakim była Retonia. Z tegoż powodu z własnej woli lub też wbrew niej Oscar często opuszczał Akademię, wyjeżdżając do rodziny na jakiś okres. Nie miał on jednak większych problemów ze zdawaniem testów kwalifikacyjnych, po powrocie.

- Nie boisz się konsekwencji? – rzucił zaczepnie, gdy Rebecca dosiadała swojej karej klaczy, tylko trochę ciemniejszej od jej włosów – Ja bym się bał, na twoim miejscu oczywiście.

Chwilę później reszta waleczników, nie licząc mnie i Wilfreda dosiadała koni. Ophelia, blondwłosa, wierna przyjaciółka Rebeci, rzuciła mi krótkie spojrzenie podczas czynności.

- A ty Nell? Taka posłuszna? – w głosie brunetki wciąż słyszałam nutkę jadu, od jakiegoś półtora roku żyłyśmy w cichym, aczkolwiek bardzo wyczuwalnym konflikcie.

- Nie udawaj – dodała, mrugając do mnie Ophelia, nie tylko ja chciałam zażegnać ten spór.

Odwzajemniłam jej uśmiech. Nie udawałam osoby ślepo posłusznej, którą nie byłam. Nie chciałam być. Po krótkim namyśle dosiadłam mojego karo-dereszowatego wałacha. Chwilę później cała siódemka waleczników, łącznie ze mną, krążyła po małym dziedzińcu, tuż przy bramie.

Odgłosy kopyt docierały zza budynku. Nim się obejrzałam, wyłoniły się sylwetki dwójki opiekunów. Charlie oraz Logana.

- Witajcie młodzieży, wybaczenie za te drobne opóźnienie – zaczął nasz wychowawca Logan, rozległy się prychnięcia, on mimo to uniósł nos wyżej, kontynuując. - Do tej pory udzielono wam niewielu informacji, dotyczących igrzysk. Nawet my nie znamy wszystkich, ale postaram się wam nieco przybliżyć obecną sytuację - jego rzadkie, brązowe, sięgające ramion włosy powiewały na wietrze, chuda twarz miał srogą, ale był wyraźnie zadowolony, wręcz dumny z funkcji, jaką sprawował, potwierdzała ją tarcza na jego piersi, prezentująca sylwetkę podnoszącą ku górze wielką koronę, na liliowym tle. Treść tarczy jasno dawała do zrozumienia, że jest on opiekunem pierwszej liliowej drużyny waleczniczej w Keychester.

Nie wspomniał nawet o zakazie przedwczesnego wsiadania, ciekawe – tak naprawdę wcale mnie to nie dziwiło. Miałam wrażenie, że znałam już powód.

- Jak wiecie dzisiaj nad ranem dykcja otrzymała informację o igrzyskach, ogłoszonych przez Szanownego Króla Sollonii, Fredericka. Zostaliście powołani na wasze stanowiska jako pierwszy rocznik. Dotychczas nigdy w naszym młodym kraju nie odbywały się tego typu wydarzenia i nie dostaliśmy powiadomienia, jak będą wyglądać poszczególne konkurencje. Prawdopodobnie będzie to test waszych kompetencji, strzelania z łuku oraz broni palnej, może odbędzie się jakaś uroczysta parada, ku chwale kraju, nie jestem pewien – przegladził kosmyki dłonią - Władca jednak zapewnił, że wszystko jest zaplanowane, a dowiedzieć się macie w swoim czasie. Podobnie ma się sytuacja z nagrodą, która bez wątpienia najbardziej was interesuje. Niestety wiadomo tylko to, że wyłącznie jedna drużyna będzie mogła ją przyjąć, spośród stu, które zostały wybrane.

Będzie mogła ją przyjąć. Mogła. Nie musiała – kąciaki moich ust uniosły się lekko ku górze, a wokół moich metalicznie-niebieskich oczu zapewne pojawiły się zmarszczki, na krótki moment. Nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam, ale dawało mi to trochę naiwną nadzieję.

- Ze stu? – przerwał Sebastian. – Dlaczego? Na jakiej podstawie wybierano?

Logan rzucił mu zirytowane spojrzenie, nie znoślił, gdy mu przerywano. Wówczas zwykle nie obchodziło się bez awantury, ale waga sprawy musiała najwyraźniej przeważać w jego mniemaniu, bo szybko wrócił do wyjaśnień:

- Wybrano drużyny ze stu największych Akademii z wydziałem waleczniczym w kraju – odparł z przekonaniem. – Igrzyska mają się odbyć pierwszego września, w stolicy.

Rzucaliśmy sobie zadziwione spojrzenia.

- Wiem, że mamy mało czasu na dotarcie, dlatego musimy niezwłocznie wyruszyć. Zanim jednak to się stanie, chciałbym szczerze życzyć wam powodzenia, odwagi, siły, walki, uzyskania chwały oraz...

- Jedziemy – warknęła Charlie po jego boku, za co oberwała oburzonym spojrzeniem Logana, ciemne włosy miała krótko ścięte, tuż przy skórze. – Więcej wyjdzie w trasie – dodała odrobinę łagodniej. - Pierwszy kierunek to Las Brzozowy, następnie do Meadtown, gdzie koniecznie musimy dzisiaj dotrzeć – wypaliła na jednym oddechu.

- Jeszcze jedno – oświadczył przez zaciśnięte zęby wychowawca - pełnię funkcję czołowego podczas tej wyprawy. Wszelkie problemy zgłaszajcie do mnie – kładł nacisk na każde słowo - ustawcie się w miarę sensowny szyk. Jedziemy.

I ruszyliśmy. Oglądnełam się jeszcze raz na mury akademii. Przeczuwałam, że mogę ich nie zobaczyć dłużej niż przewidywano, a to wzbudzało we mnie sprzeczne emocje. Nadzieję i strach, ekscytację i obawę, której się nie spodziewałam, nigdy bowiem nie przypuszczałam, że zatęsknię za tym miejscem.

Mam nadzieję, że nie zatęsknię.

Minęło kilka godzin. Byliśmy już niemal na skraju lasu. Naszym oczom, w oddali, ukazywały się pola uprawne, które jeszcze przysłaniały drzewa. Były to przede wszystkim brzozy, przez których licznosc uzyskał on swoją nazwę.

- Druga – odchrząknął Wilfred, któremu głos nieco przychrypnął od milczenia, jakie towarzyszyło nam przez większość dotychczas przebytej drogi.

Wsluchiwałam się wówczas w otaczające nas odgłosy: kopyt, śpiewających ptaków i przepływających strumyków. Mogliśmy pograć się w zamyśleniu, jednocześnie pozostać skoncentrowanymi na jeździe, być czujni. Nie powodowało to dyskomfortu. Zналиśmy się doskonale. Byliśmy mocno ze sobą związani przez dziesięć lat życia razem. Walecznicy więcej czasu spędzali w Akademii niż we własnych domach, które odwiedzali na ferie, chyba że ich opiekun prawny mieszkał stale na terenie Akademii, jak w moim przypadku lub gdy mieli na tyle wysoko postawionych rodziców, że mogli im oni zapewniać przepustki na dłuższy czas. W każdym razie staliśmy się prawie rodziną, chociaż nie łączyły nas więzy krwi. Łączyło nas otoczenie, w którym żyliśmy, choć nasze relacje odbiegały od rodzinnych.

Nawet, gdyby relacje międzyludzkie mogły być idealne, to nasza z pewnością by taką nie była.

Czasem potrafiliśmy jednak milczeć, gdy już doskonale wiedzieliśmy, że na nic innego nikt nie ma ochoty, a długa podróż, oraz niepewna przyszłość przywoływały nieco nostalgii.

- Druga drużyna na wyspie też jedzie? – powtórzył Wilfred.

- Tak – odpowiedzieli opiekunowie jednocześnie – Pierwszy rocznik z Akademii w Lithusdale również bierze udział – kontynuował Logan – Jest szansa, że nasze drogi prędzej czy później się skrzyżują.

- To raczej niezbyt dobrze – ocenił Sebastian – zawsze byliśmy rywalami, chociaż się nie znamy, dyrekcje szkół zawsze prowadziły spór o to, która Akademia na wyspie jest lepsza. Będą chcieli zagarnąć wygraną dla siebie.

- Jak wszyscy – prychnął Oscar – każdy chce wygrać, nie czyni to jednak z nich zagrożenia, poza tym, nawet nie wiemy, jaka jest nagroda. Chęć zwycięstwa obudzi się w niektórych dopiero wtedy, gdy dowiedzą się o wynagrodzeniu.

Wreszcie wyjechaliśmy z lasu. Natychmiast poczułam silniejszy wiatr, kiedy skręcaliśmy na pobliską ścieżkę. Wtedy mój karo-dereszowaty wałach wciągnął głośno powietrze przez chrapy, czyjś koń odskoczył w bok. Ktoś stłumił przekleństwo. Naszym oczom ukazało się rozdroże kilka metrów dalej. Drogowskazy były odrąbane, pomiędzy nimi znajdowało się zgaszone palenisko, w którym leżała zwęglona sylwetka. Oczy otworzyłam szerzej, a serce zabiło mi mocniej. Bałam się, naprawdę. Przez natłok panicznych myśli zalewających moją głowę ledwie usłyszałam, jakby gdzieś w tle, polecenie czołowego. Bez większego zawahania ruszyliśmy galopem w kierunku rozdroża. Przymrużyłam powieki, gdy zatrzymaliśmy się przy palenisku. Nie byłam przyzwyczajona do tak makabrycznych widoków. Podczas zajęć z medycyny, którą obejmował nasz program szkoleniowy wielokrotnie mdlałam, przynajmniej na początku. Nie miałam jednak wyboru, musiałam walczyć sama ze sobą, aby zostać walecznicą, którą miałam się stać. Z czasem widok wnętrzości przestał robić na mnie aż takie wrażenie, ale wciąż kiepsko znosiłam cierpienie, zarówno własne jak i cudze. Byłam wdzięczna, za to, że mój koń, Cobalt był taki spokojny, chociaż doskonale wyczuwał moje przyspieszone bicie serca. Aby uciec nieco wzrokiem, skierowałam go na wskazujące drogę słupy, które zostały tak doszczętnie zniszczone, że przestały pełnić swoją funkcję. Teraz ich końce były odrąbane jakimś ostrym narzędziem. Mogło to wywnioskować nawet niedoświadczone oko. Po tablicach informacyjnych zaś wcale nie pozostało śladu.

Staliśmy tak w milczeniu. Miałam wrażenie, że żadne z nas nie potrafiło odnaleźć słów, które byłyby właściwą reakcją na zaistniałą sytuację. Ophelia zaczęła oglądać się na boki. Rebecca wyglądała jakby zmuszała się do patrzenia, a na jej twarzy widniała determinacja. Sebastian zacisnął usta w pionową kreskę. Zawsze dowcipny Elias spoważniał. Wilfredowi drgnął mięsień szczęki. Oscar przyglądał się nieodgadnionym wzrokiem. Pomiędzy gęstymi brwiami Charlie pojawiły się zmarszczki. Jako pierwszy ocknął się Logan:

- Co to ma oznaczać? – w jego oskarżycielskim spojrzeniu, jakie rzucił do nas, błysnął strach.

- Część miejsca zamieszkania, na której nic nie ochroni przed widokiem rzeczywistości – oznajmił Elias, wzruszając niby to obojętnie ramionami, na tę niecodzienną sytuację, aczkolwiek zdało mi się, że przełknął ślinę.

Sebastian mruknął coś pod nosem. Sądząc po jego zakłopotaniu, domyślałam się wulgaryzmu.

- Dobrze mówi - oceniła Charlie. Zeszła z konia, po czym podniosła dość dużą, drewnianą tabliczkę dociążoną kamieniami do ziemi. Na tablicy wystrugano napis:

Część miejsca zamieszkania, na której nic nie ochroni przed widokiem rzeczywistości. Na której można odczuć mróz i chłód, a jednocześnie podziękować za perspektywę, jaką odbiera wytrzymała kamienna barykada. A choć mury skaliste to kruche jak cholera. Ci, co się w nich ukrywają zostaną jako pierwsi pożarci przez ogień. Oby nie było dla nich za późno na podjęcie mądrej decyzji.

- Sposób wyrażania się jak w najniższym szczeblu drabiny społecznej – ocenił od razu wychowawca. – Ale takowi nie potrafią pisać.

- Nieprawda – zaprotestował Oscar.

- Zarzucasz mi kłamstwo?

- Nie, okłamuje się celowo, a mówienie nieprawdy może być po prostu pomyłką lub brakiem wiedzy.

- Zastanów się, do kogo ty mówisz...

- Ty też – odparł bez zawahania, dopiero potem błysnęła nutka zaskoczenia w jego spojrzeniu albo mi się tylko wydawało. Może z niejasnych przyczyn chciałam by tak było?

- Ależ zrobiłeś się pyskаты, Oscar, przez ten rok – stwierdził opiekun, lecz już mniej pewnie.

Brunet wypuścił powietrze z ust, potem kontynuował:

- Chodzi mi o to, że wiadome jest, iż teraz wszystkich uczą pisanie i czytania. Czasy, w których było to zarezerwowane dla elity, minęły. Coraz częściej można napotkać taką umiejętność wśród uboższych.

- Właśnie – dodała Ophelia, a na jej usta miało chyba wstąpić coś na wzór uśmiechu, lecz ich kąciki przyjęły jedynie lekki grymas. – U mnie w rodzinie nawet służbę tego uczą, bo denerwuje to mego ojca, gdy nie potrafią oni nawet przekazać listu do właściwej osoby...

- Ważniejsza może być odpowiedź do tej zagadki – przerwałam trochę wbrew swemu zwyczajowi.

- Nie ma takiej. Przynajmniej dosłownie – zastanowił się Logan. – Myślę, że bardziej chodzi o metaforę i o to, że komuś nie odpowiada to, co ktoś lub my robimy.

- Myślisz, że skierowano ją akurat do nas? – uniosła brew opiekunka.

- Oburzający jest ten fakt, ale być może tak jest. To „coś” jest tu od niedawna. Na tak popularnym szlaku szybko zostałoby to zauważone przez kogoś i zgłoszone lokalnym władzom, zaś one nie pozostawiłyby śladu po takim akcie wandalizmu.

Mało powiedziane – pomyślałam, nie mogąc się powstrzymać, pokręciłam delikatnie głową. Jego reakcja zdawała mi się niewyobrażalna.

Już chyba wolałabym obojętność.

- Najbardziej istotna w tej chwili jest droga do Meadtown – wtrąciła opiekunka, przyjąwszy skupiony wyraz twarzy – Wie ktoś, którą to?

- Na północny-wschód – oznajmił Logan.

- Czyli w prawo - dodał Wilfred.

- Musimy się pospieszyć. Nie wiadomo, czy to miasto nie jest zagrożone, a za niedługo zacznie się ściemniać – zarządziła Charlie. – Lepiej się nie spóźnić.

Wreszcie dotarliśmy do Meadtown. Miasta, które wyglądało w miarę normalnie, jak na pierwszy rzut oka. Ludzie nie biegali dookoła w panice, usiłując zgasić pożar. Nie. Na ściemniających się ulicach rozpalono latarnie, a najbardziej zawzięci handlarze jako ostatni sprząтали stoiska. Zamykano urzędy, niektóre sklepiki, podczas, gdy inne lokale jakby odżywały wieczorem. Nie brakowało tu bryczek, jeźdźców czy pieszych, ale nie był to tłok, jaki można było zaobserwować w godzinach szczytu. Zwyczajne miasteczko.

Grupą udaliśmy się do hotelu, któremu podobno dyrekcja Akademii jeszcze rankiem posłała gołębia z informacją o przybyciu gości. Wszystkim walecznikom polecono pozamykać się w pokojach i za godzinę przyjść na kolację. W tym czasie czołowy miał się udać do władz lokalnych miasta.

Czułam pieczenie w udach oraz zmęczenie na całym ciele, gdyż większość pozostałej drogi pokonaliśmy galopem. Szłam korytarzem w kierunku swego pokoju, bawiąc się kluczykiem w rękę. Dostałam pokój koło opiekunki, ale odczuwałam co do tego totalną obojętność. Stałam jednak zaintrygowana, gdy zauważyłam zwiniętą karteczkę, obok drzwi. Sięgnęłam po nią, choć przeszło mi przez myśl, że ta wiadomość nie musiała wcale być skierowana do mnie, lecz równie dobrze mogła być do Charlie. Zawiniątko leżało jednak bliżej moich drzwi, dlatego nie przejmując się tym szczególnie, rozejrzałam się na boki, następnie rozwinęłam papierek. Mógł on po prostu komuś wypaść, być dla kogoś innego lub być pusty, ale jak się okazało nie był. Wielkimi literami napisane były tam tylko dwa słowa:

DACH, KOLACJA.

Nie było to zaskakujące.

To nawet lepiej, jeśli kartka nie była skierowana do mnie.

Uniknęłam potencjalnych problemów, które z pewnością miały kiedyś nadejść.

Pośpiesznie weszłam do pokoju, unikając oceniającego spojrzenia sprzątaczk, która wyłoniła się zza zakrętu.

Pokój nie był duży, dodatkowo przestrzeń ograniczał skos. Zaletą był jednak nieduży balkonik i własna łazienka. Moje zadowolenie wzrosło, gdy zastałam w niej wannę wypełnioną wodą. Była zimna, jak się okazało, gdy zanurzyłam koniuszki palców.

To nie szkodzi.

Byłam przekonana, że za niedługo będę musiała się myć w tylko takiej wodzie lub jeszcze zimniejszej, w jakiś strumykach, czy też rzekach. Postanowiłam docenić to, co jeszcze miałam.

Wyszykowana ruszyłam do jadalni, aby o wskazanej godzinie pojawić się na kolacji. Zeszłam chyba trochę za wcześnie, choć nie jako jedyna. Dania były dopiero co układane na stół. Nie przeszkadzało to

jednak niektórym w rozpoczęciu konsumpcji. Logan podjadał nieco, co chwilę sięgał też ręką po kielich wina. Rozmowa z lokalnymi władzami najwyraźniej nie poszła mu lekko.

Nie chcąc przeszkadzać służbie, usiadłam na skórzanym, brązowym fotelu znajdującym się nieco dalej, przy oknie. Widziałam tę samą sprząającą co po przyjeździe. Teraz w nieco innym uniformie lawirowała z tacami, zawzięcie szukając czegoś wzrokiem, gdy zobaczyła mnie, okrążyła stół i podeszła. Zmarszczyłam brwi w reakcji na wyczekujące spojrzenie, jakim zostałam potraktowana.

- Panienska zapomniiała o czymś - wyszeptiała, aczkolwiek dobrze słyszalnie.

Chciałam zaprzeczyć, ale ugryzłam się w język, zważywszy na to, że nie usłyszałam pytania. Zamiast tego uniosłam wyżej swoją piegowatą twarz, rzucając podejrzliwe spojrzenie.

- Nie zaintrygowało nic panienki? Tacy, jak ty powinni być dociekliwi, prawda?

Zmrużyłam lekko oczy. Dziewczyna stojąca przede mną była w podobnym do mnie wieku, ale nie umknęło mi, że przestała używać formy grzecznościowej. Nie przeszkadzałoby mi to, ale w jej oczach nie widziałam sympatii. Wzięłam głębszy wdech.

- O porze kolacji powinna być panienska w miejscu rozwiązania – oznajmiła służka, po czym uśmiechnęła się kąśliwie. – Wiesz, co mam na myśli – po tych słowach obróciła się na pięcie i szybkim krokiem odeszła. Zniknęła pośród innych kelnerek.

Wstałam gwałtownie, być może zbyt gwałtownie. Sprowadziłam tym na siebie czyjaś uwagę albo już wcześniej byłam obserwowana. Przypatrywał mi się mężczyzna o włosach w najciemniejszym odcieniu blondu, takim jaki można pomylić z brązem, przy słabym oświetleniu. Dzięki tarczy na jego piersi rozpoznałam w nim opiekuna turkusowej drużyny. Wyglądał bardzo młodo jak na osobę pełniącą tę funkcję, bo na nieco ponad dwadzieścia lat. Lustrował mnie parą głęboko, ciemnoniebieskich oczu z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Gładko ogoloną twarz miał raczej przeciętnej urody. Nie był aż tak przystojny jak Oscar, na pierwszy rzut oka... Skarciłam się za tę ocenę.

A może nie jest po prostu w moim typie? – tamtą myśl prędko wyrzuciłam z głowy, to, co wtedy pomyślałam, nie miało znaczenia ani wtedy, ani nigdy później.

Za to słowa, które usłyszałam od tamtej kobiety, mogły mieć. Wreszcie, nie chcąc robić sensacji, pełna sprzecznych emocji zdecydowanym krokiem opuściłam jadalnię. Próbowałam uspokoić się myślą, że przecież, nawet jeśli ten mężczyzna usłyszał całą rozmowę, nie ma on, jak tego wykorzystać przeciwko naszej drużynie. Fakt, iż turkusowi są w tym samym hotelu, był zaskakujący. Odrzuciłam go na inny plan, dopiero gdy zatrzasnęłam drzwi swojego pokoju.

O porze kolacji powinna być panienska w miejscu rozwiązania.

Jakiego rozwiązania? Czego rozwiązania? – rozmyślając wyjęłam z szuflady karteczkę, którą odłożyła tam wcześniej nawet nie myśląc, że kiedykolwiek ponownie po nią sięgnę. W mojej ocenie powinna tam pozostać, ale najwidoczniej miało być inaczej.

DACH, KOLACJA.

Serce zabiło mi mocniej. Usilnie próbowałam sobie przypomnieć.

Część miejsca zamieszkania, na której nic nie ochroni przed widokiem rzeczywistości. Na której można odczuć mróz i chłód, a jednocześnie podziękować za perspektywę, jaką odbiera wytrzymała kamienna barykada. A choć mury skaliste to kruche jak cholera. Ci, co się w nich ukrywają zostaną pierwsi pożarci przez ogień. Oby nie było dla nich za późno na podjęcie mądrej decyzji.

Musiał tu chodzić o dach. Bez zawahania, ale też bez namysłu otworzyłam drzwi balkonowe, zła na siebie, że nie wpadłam na rozwiązanie tamtej zagadki. Wprawdzie mało rozmyślałam nad tym, ale nie przypuszczałam, że odpowiedź jest aż tak banalna. W miarę sensownie mogłoby też chodzić wyłącznie o balkon, ale dach był o wiele bardziej uniwersalny.

Nie będąc pewną, czy robię słusznie, stanęłam na bocznej części barierki. Delikatnie podtrzymywałam się rynną, wiedząc jednocześnie, iż na niewiele się to zda w razie źle postawionego kroku. Trochę niezręcznie wdrapałam się na dach, a potem już z większą pewnością siebie, w mocnym pochyleniu pokonałam skos. Odetchnęłam, stając na poziomej części. Czułam niepokój, bo nie rozumiałam tego, co się działo, a mimo to z nieznanych mi powodów zdawało mi się, że tamten komunikat był do mnie, że miałam doświadczenie z czymś zupełnie nowym i mogłoby być to nawet ekscytujące, gdyby owej ekscytacji nie tłumili inne uczucie. Strach.

- Myślałem, że się nie doczekam – niski mężczyzna o kędzierzawych włosach, który był chyba kucharzem, sądząc po jego znoszonym fartuchu, wypowiedział te słowa, rzucając mi nienawistne spojrzenie. Stał on po przeciwnej stronie dachu, przodem do mnie. Jedną jego nogę stała na krawędzi przed rozpoczęciem skosu, zaś druga wisiała luźno, dotykając czubkami starych butów podłoża. Ręce miał rozłożone szeroko jakby miał zamiar rzucić się w przepaść.

Tego się nie spodziewałam. Tak szczerze mówiąc, niewiele przewidywałam.

Na pewno nie chciałam zostać świadkiem samobójstwa.

- Nie rozumiem – powiedziałam cichutko, niemal bezgłośnie.

Mężczyzna uśmiechnął się złowrogo, jakby odczytał te słowa z ruchów moich warg.

Cholera, wprowadził mnie w jeszcze większe zagubienie. Za nic nie rozumiem tej sytuacji.

- Jestem symbolem – odparł wreszcie – Symbolizuję Sollonię, która upada.

Już prędzej zmierza ku upadkowi, biorąc pod uwagę twoje położenie – skarciłam go w duchu, powstrzymując wypowiedzenie tych słów. Powiedziałam coś innego:

- Dlaczego to robisz?

Celowo zadałam takie pytanie: dlaczego to robisz, nie dlaczego to mówisz?

- Ludzie mają powody, by was nienawidzić – kucharz mruknął wymijająco - Płacę o wiele za dużo na wasze utrzymanie, tak jakbyście byli częścią nas. Dodatkowo, teraz gdy wyszła nowa ustawa wielu ludziom ledwie starcza na utrzymanie...Więc radziłbym się poważnie zastanowić, po której stronie zechcecie walczyć, jeśli przyjdzie pora.

Po której stronie będziecie walczyć, jeśli wybuchnie powstanie. Po której stronie stanęłabym ja? – zrozumiałam to i coś jeszcze...

- Dlaczego zadałeś sobie tyle trudu, żeby mi o tym powiedzieć? – wtrąciłam - to ty spaliłeś nieszczęśnika!

- Ja...

- Uszkodziłeś drogowaskazy, wszedłeś w znowę ze sprzątaczką, aby do przyjścia tutaj nakłoniła osobę, która pierwsza odnajdzie kartkę. Widziałam ją, ale to przede wszystkim ona miała zobaczyć mnie – wypaliłam na jednym tchu - Więc ponawiam pytanie: Dlaczego zadałeś sobie tyle trudu, żeby mi o tym powiedzieć?

- A któż z was chciałby rozmawiać z uboższą sferą społeczną, w dodatku na takie tematy? – wzruszył ramionami jakby to było oczywiste.

Nie było. Pokręciłam głową na te słowa. Miałam do czynienia z osobą ślepo wierzącą w swoje racje, taką, którą bardzo ciężko przekonać do czegośkolwiek.

Mężczyzna zrobił delikatny krok w tył. Postawił obie nogi, lecz stał na palcach.

Nie, nie rzucił się, jeszcze.

- Skoro tak bardzo w to wierzysz, po co chciałeś ze mną rozmawiać? – po kilku szybkich krokach znalazłam się obok niego, jednocześnie starając się utrzymać bezpieczny w mojej ocenie dystans - Naprawdę myślisz, że gdyby tak było, udałoby ci się mnie przekonać? Poza tym, nawet jeśli, to ja jestem jedna. Wiesz, ile powstało drużyn waleczniczych w pierwszym roku poborów? 256 – mój podniesiony ton głosu zaskakiwał mnie – W pierwszym roku.

Mężczyzna z widoczną frustracją wciągnął powietrze przez nos.

- Czasem wszystko zaczyna się od jednej osoby. Dla nas każda jedna jest ważna.

Wpatrywałam się w niego wymownym wzrokiem. W moim oglądzie wymownym, bo ewidentnie mnie nie zrozumiał.

- Zamordowałeś człowieka – dodałam.

- Po pierwsze – wziął głęboki wdech, drapiąc się po karku - był to stary pijak, nieudacznik, drażniący wszystkich wkoło. Po drugie nie zabiłem go, jeśli tak bardzo chcesz wiedzieć – westchnął, prawdopodobnie zobaczywszy moje pytające, lecz nieufne spojrzenie, jakie zapewne wymalowało się na mojej twarzy. – Znaleźliśmy go z chłopakami, na uliczce leżał. Chłop zapił się na śmierć. To był mój pomysł, aby to wykorzystać.

Ledwo, powstrzymałam grymas wstępujący na moją twarz albo wcale.

Nie jesteś sam, oczywiście, jest was więcej.

- A jesteś pewien, że większość waleczników stoi po stronie Retonii? – wtrąciłam.

- Jesteście przecież najbardziej związaną z nimi grupą zawodową! – krzyknął, spoglądając na mnie z dezaprobatą, tak jakby to ja zgrywała idiotkę. – Wiem wszystko o tych waszych akademiach! Wiem, że omawiacie ich książki, uczycie się od nich, podziwiacie tylko...

Zaśmiałam mu się w twarz, ale nie był to radosny śmiech.

Jakim cudem on może myśleć, że nas naprawdę to obchodzi oraz że próba indoktrynacji narzucona przez częściowo opłacające nas władze retońskie, sprawia, iż wszyscy jesteśmy nierozumnymi, pozbawionymi własnych umysłów tworam? Naprawdę tak twierdzi? – uzyskałam potwierdzenie, ale mimo tego trudno mi było w to uwierzyć. Prawda była taka, że król Sollonii stworzył funkcję waleczników, aby móc rozbudowywać nieco armię, ominąć zakaz, jednocześnie nie łamiąc prawa. Młodzieńcy nabywali różne umiejętności, czyniące z nich wojowników do wojny partyzanckiej, ale również gotowych na powołanie do wojska, o wiele lepszych od zwykłych cywilów. Dziewczęta uczono między innymi, głównie, leczenia...

Urwałam gorzki śmiech. Widziałam jak twarz mężczyzny się zmienia, oczywiście, że nie rozumiał mojego punktu widzenia. Widziałam, jak opanowuje go wściekłość, na myśl, że wszystko, co robił, było bez sensu. Faktycznie, ale każde z nas inaczej odbierało teraz treść tego określenia.

Ruszył na mnie z rękoma. Powinnam się spodziewać, zamiast tego ledwo zrobiłam niezdarny unik.

Czyli, jednak zmienił zdanie i woli machnąć się na cudze życie.

Krążyłam wokół mężczyzny bacznie mu się przyglądając. W czasie sekund nie zdążyłam jeszcze zdecydować, jak z nim postąpić. Jego pięść poleciała ku mojej twarzy.

Albo od początku miał taki zamiar.

Na moje szczęście nie był za dobrze wyszkolony. Odchyliłam się, a potem zadałam mu haka, aż pisnął, chociaż mnie też zabolalo, gdy moja pięść spotkała jego podbródek.

Nie narzekaj. Skup się.

Ręką zaczęłam rozpinać kieszeń spodni, usytuowaną po bocznej stronie uda. Wtedy ocknął się z chwilowego oszołomienia i ruszył na mnie ze wzmożoną siłą. Ponownie uniknęłam ciosu, a jednak zakłęłam w duchu.

Jeden pieprzony błąd.

Źle postawiony krok sprawił, że kompletnie straciłam równowagę i natychmiast poleciałam na skos. Miałam wrażenie jakby całe życie przelatywało mi przed oczami, gdy turlałam się ku przepaści, a jednocześnie czas mijał nieubłagalnie szybko. Chciałam mieć chociaż moment, by zapłakać nad swoim losem, żeby zdążyć się z nim pogodzić, ale możliwe, że lepiej, iż go nie miałam, bo i tak to by nie nastąpiło. Byłam taka młoda. Poleciałam z krawędzi prosto w dół.

Czekaj, zaraz! – myślałam gorączkowo, czując bezwładność własnego ciała, przeciążenia.

Ale czas nikogo nie słuchał. Spadłam, a jednak wciąż żyłam. Przeżyłam. Gdy to sobie uświadomiłam wstałam oszołomiona z wiklinowego stolika, jaki stał na małym balkoniku, na którym wylądowałam, pozostawiając po sobie wgłębienie w splecionym materiale. Zamortyzował mój upadek. Wciąż byłam w dziwnym transie, na tyle oszołomiona, że przeszło mi przez myśl, że być może rzeczywiście umarłam.

Nie bądź głupia.

Musiałam wydostać się z tego miejsca. Jediną drogą, która nie była oparta na czekaniu na ratunek właścicieli pokoju, był powrót na dach i to niego właśnie wybrałam, chociaż nie uśmiechało mi się to. W

głowie dziękowałam Stwórcy podczas ponownego wdrapywania się. W takich momentach stawiałam się wierząca jak nigdy. Nagle coś we mnie pękło. Niemalże na czworakach przycupnęłam na skosie.

Zaśmiałam się, ale był to śmiech przez łzy, które błysnęły w moich oczach. Nie miałam pojęcia, czy ich przyczyną było szczęście z przetrwania, czy może szok oraz smutek na myśl, że właśnie prawie pożegnałam się z życiem.

Było tak blisko...

- Jesteś cała? – najpierw usłyszałam niski, głęboki, wręcz krystaliczny, lecz z przyśpieszonym oddechem męski głos. Dopiero potem przez krótki moment zauważyłam jego właściciela, który wychylił się zza poziomej części dachu, a gdy tylko mnie zobaczył, rzucił się do biegu i zniknął z moich oczu. Ta krótka chwila wystarczyła, jednak, żebym go rozpoznała.

Ciekawe, że opiekun turkusowej drużyny miał retoński akcent.

Co on w ogóle tu robi?

Stanęłam na poziomie i mimo że udało mi się uniknąć śmierci, robiłam to na drżących nogach oraz z przyspieszonym biciem serca, w którym zawitała nadzieja.

A może jeszcze nie zdążyło się ono uspokoić po szoku, który przeżyłam?

Wzięłam głębszy wdech. Ruszyłam biegiem w kierunku mojego niedoszłego mordercy, który uciekał przed opiekunem turkusowych. Właśnie to dodawało mi pewności siebie. On uciekał. Uciekał, a ja zamierzałam go złapać. Kątem oka dojrzałam trójkę turkusowych waleczników, którzy właśnie przechodzili z balkonu na dach.

Czyli wziął swoich.

Przyspieszyłam biegu, za wszelką cenę pragnąc dorwać tego drania, jednocześnie nie rozumiałam za dobrze swoich motywacji. Najwyraźniej nie przeszkadzało mi to.

Czy połączenie sił z potencjalnymi przeciwnikami okaże się konieczne?

Uciekinier zaczął grzebać w kieszeniach fartucha, nie zwalniając tępa. Zaraz potem jego ręka wyrzuciła energicznie w powietrze czarną kulkę, która zabłysnęła chwilowo niezwykle jasnym ogniem rażącym po oczach. Na ten krótki moment zwolniłam, ale wysokiemu mężczyźnie przede mną to nawet nie przeszkodziło, podobne wrażenie sprawiała pozostała trójka waleczników, którzy już dołączyli do pogoni. Ich turkusowe pelerynki powiewały od prędkości. Prawie się uśmiechnęłam na myśl, że kucharz zaraz dotrze do skraju dachu i już nie będzie miał, dokąd uciekać, ale on znajdujący się jakieś dwa metry ode mnie, jeszcze przyspieszył.

Takim tempem już za kilka kroków znajdzie się na krawędzi.

Kucharz jednak skoczył w dół, a doganiający go mężczyzna dał nura za nim. Moje domysły się potwierdziły, gdy dotarłam wystarczająco blisko. Tuż obok hotelu znajdował się wąski, niższy budynek, na który właśnie wskakiwałam z pozostałą trójką. Skręciłam ostro, kierując się w jego wzdłuż, za przodującą dwójką. Zaraz potem musiałam wskoczyć na następny budynek. Pomimo strachu przyspieszyłam, nie mogłam się wahać, żeby dobrze wylądować. Kolejna podpałka błysnęła z hałasem w górze, ale tym razem nie zwolniłam, zaraz potem strzały ze świstem przecięły powietrze.

- Uwaga! – odruchowo wydyszałam.

Ale mężczyźni nie zdążyliby ich uniknąć, gdyby zobaczyli je z moim krzykiem. Nadlatywały z południa, od strony starej wieży zegarowej, jedna po drugiej, co gorsza były to strzały zwrotne, czyli takie, które mogły delikatnie zmienić kąt lotu w trakcie, poprzez mentalne połączenie ze strzelającym.

Kto o tym wiedział? Kto strzela? Potrafi zmieniać ich kierunek, a to jest przecież strasznie trudne, nawet o milimetry!

Ktokolwiek to był, nie brał naszej strony, bo strzały leciały do ścigających mężczyzn oraz do mnie, co właśnie zarejestrowałam.

Usilnie spróbowałam nawiązać połączenie, ale zrezygnowałam z tego pomysłu, odskakując, tuż za nim zdążyła przebić moją pierś. Uzyskanie władzy nad strzałą wroga jest jeszcze trudniejsze, a co dopiero w trakcie takiego wysiłku.

I skąd wziął zwrotne?

Nie należały one do łatwo dostępnego rodzaju uzbrojenia. Gdy kolejna z nich nadlatywała w moim kierunku, skoczyłam w bok, skrywając się za skosem po drugiej stronie. Nie byłam uzbrojona tak jak walecznicy, którzy pospiesznie sięgnęli po swoje łuki. Strzelali do wroga, jednocześnie robiąc uniki. Jeden z nich objął taktykę podobną do mojej oddając strzały zza kryjówek. Opiekun stał się jedynym ścigającym. Na początku próbował równocześnie oddawać strzały, jednak skutkowało to znacznie mniejszą celnością. Z czasem zrezygnował z tego, ale wciąż musiał robić uniki.

On ucieknie. Kucharz ucieknie, nie powstrzymamy go.

Na tę gorzką myśl część mnie chciała opuścić moje tymczasowe schronienie, dające złudne poczucie bezpieczeństwa i ruszyć za mężczyzną, ale nie miałam w sobie wystarczająco dużo odwagi.

Albo zbyt wiele zdrowego rozsądku.

Świst, znowu. Wtedy ruszyłam biegiem przed siebie, gdy kolejna seria strzał, tym razem z południa wzbila się w górę. Nie miałam wyboru, nie miałam gdzie się skryć, więc pędziłam najszybciej jak tylko umiałam.

Szybki cel, to trudny cel.

Poza tym tylko taka prędkość dawała mi jakiejkolwiek szansę na dogonienie mężczyzn. Wskoczyłam na kolejny, wyższy budynek, na którym oni już biegli.

- Czysto! – usłyszałam w tle, gdzieś za sobą.

Poczułam ulgę. Dopiero teraz mogłam w pełni skupić się na biegu. Kucharz praktycznie nie dawał oznak zmęczenia, może dlatego, że na szali mogło stać jego życie. Odrzuciłam tę myśl. Nie chciałam nikogo zabijać, ale chciałam go złapać. Za kilkanaście metrów był skraj. Mężczyźni byli już niedaleko. Byłam już taka zmęczona.

Kilkanaście metrów. Krok za krokiem.

Resztkami sił i własnej woli pognałam jeszcze szybciej, pełna nadziei, że to zaraz się skończy. Zdawało mi się, że opiekun turkusowych zwalniał, gdy go wyprzedzałam. Uciekinier wyrzucił następną podpałkę,

tuż przed zeskokiem, jednak nie dlatego zakłęłam w duchu. Mężczyzna za mną chwycił mnie za nadgarstek. Próbował mnie powstrzymać. Mimo mojej próby wyrwania się, skutecznie mnie zwolnił. Odwróciłam głowę, rzucając rozczerowane spojrzenie w jego kierunku. Naiwnie myślałam, że przez moment staliśmy po tej samej stronie. Z jego twarzy nic nie potrafiłam wyczytać, oprócz wysiłku i determinacji, wtedy znowu szarpnął. Zatrzymał mnie. To wszystko działo się za szybko. Pełna sprzeczności chciałam go zwyzywać, lecz najpierw, jakby odruchowo zrobiłam kilka kroków przed siebie i zerknęłam w dół. Zamarłam, a zaraz potem zaczęłam jeszcze gwałtowniej oddychać. Cofnęłam się energicznie, rejestrując jak blondyn mnie puszcza. Czułam wściekłość, ale w moich następnych słowach słyszałam jedynie niedowierzanie:

- On...- głos mi się załamał – On zniknął.

Właśnie to ujrzałam. Pustą oświetloną ulicę, bez śladu nikogo.

- Wiem, widzę – odpowiedział, wpatrując się we mnie ciemnoniebieskimi oczami, którym przyglądałam się z pełną uwagą jakby poszukując pośród nich odpowiedzi. Nie odnalazłam, ale postanowiłam sobie, że będę szukać jej gdzie indziej, do skutku, aż ją znajdę.

KONIEC?